

Ogarnia mnie wówczas dziwny niepokój*

Bronisław Malinowski

Pisane dla Anieli Zagórskiej

Londyn 25.II.13

Pisane dla Panny
Anieli Zagórskiej
w Zakopanem.

Trudnoby mi było odpowiedzieć jasno i po prostu na pytanie, dlaczego właściwie pojechałem do Londynu; dlaczego w 26. roku życia rozpocząłem zupełnie nowy kierunek pracy naukowej i dlaczego w tym, względnie późnym, wieku zabrałem się do pisania w języku angielskim, którego przedtem prawie nie znałem, przyjmując w ten sposób kulturę angielską – także prawie całkowicie mi obcą – jako, do pewnego stopnia, – drugą ojczyznę duchową. Poprzednio zajmowałem się wyłącznie studjami przyrodniczymi i trochę filozofią, ale zawsze na tle zagadnień przyrodniczych i w kierunkach wyraźnie stojących w związku z matematyką i fizyką. Przez przyrodę rozumiem tu to, co właściwie nazywa się „przyrodą ścisłą” tzn. matematykę, fizykę i chemię. Wprawdzie zajmowały mnie zawsze zagadnienia ogólne; nie miałem nigdy skłonności do specjalizowania się i nie było żadnej dziedziny naukowej, która by mnie nie pociągała; w studjach przyrodniczych przerzucałem się tu ciągle z matematyki do fizyki, z fizyki do chemii; od pracy teoretycznej do laboratorium. To wszystko było wyrazem dyletantyzmu umysłowego, z którego się zresztą nigdy nie wydobędę i który ostatecznie popchnął mnie w dziedzinę nauk społecznych – tak zupełnie odmiennych od przyrody. Mam wrażenie, że teraz przestanę już przerzucać się, zwłaszcza że rozpocząłem już szereg prac, które będę chciał ukończyć, a w miarę posuwania ich naprzód wyłonią się nieraz, tylko że nowe, problemy i tak nie będę się już mógł z tego zakresu wyrwać. Bezpośrednio przed przyjazdem do Londynu, w Lipsku, pracowałem już, obok zajęć w laboratorium chemicznym, nad t.zw. „Völkerpsychologie” – to znaczy nad zagadnieniami z wierzeń i zwyczajów różnych ludów. Rozprawę z tej dziedziny, rozpoczętą w Lipsku, pojechałem wykończyć w Londynie. To był jeden z powodów.

Ale obok tego ważną rolę odegrał fakt, że miałem ochotę poznać Anglię, która mnie od dawna pociągała jakimś dziwnym urokiem. Teraz zaś miałem dobrą sposobność do zaaklimatyzowania się w tym kraju, bo jechała właśnie z Lipska do Londynu dobra moja znajoma i przyjaciółka Mrs. N¹, Angielka z Kolonii (Nowej Zelandii), która dla studjów muzycznych bawiła w Europie i chciała przez jakiś rok posiedzieć w Londynie przed ostatecznym powrotem do kraju. Zarówno jej towarzystwo samo przez się, jak też liczne ułatwienia w poznaniu ludzi, stosunków, w szybkiej nauce języka – wszystko to pociągało mnie i skłaniało do decyzji. Mam wrażenie, że gdybym nie był poznał Mrs. N. nie byłbym nigdy zajmował się socjologią, ani też zanglizował się do pewnego stopnia. Tak to w życiu, motywy najbardziej odległe od racjonalnego i logicznego traktowania swego zawodu, kariery czy powołania, odgrywają zasadniczą rolę! Przy tem nie mogę się uważać za człowieka wyjątkowo wrażliwego, fantastycznego, pogardzającego trzeźwym i praktycznym kierowaniem swego życia; jestem jednak niewątpliwie mało spontaniczny i dysproporcja między danymi zmysłowymi a energią konieczną do pełnej ich eksploatacji stwarza ze mnie człowieka wiecznie stojącego na rozdrożu.

Wracam do mego stosunku do Anglii i rzeczy angielskich. Bezwarunkowo nie jestem bynajmniej wyjątkiem w tem, że miałem wysoce rozwiniętą anglomanie, jakiś prawie, że mistyczny kult dla kultury brytyjskiej i jej przedstawicieli. Mam wrażenie, że wytworzyło się to u mnie w pierwszym rzędzie skutkiem bezpośredniego wrażenia, jakie na mnie Anglicy robili. Podróżowałem dość dużo – przed przyjazdem do W. Bryt., i zagranicą spotykałem oczywiście wszędzie dużo Anglików. Bezpośrednie i zupełnie przygniatające wrażenie nieopisanego szyku, wyższości w wyglądzie, manierach, ruchach – wszystko to stawiało mi Anglików na jakimś piedestale, otaczało nimbem tego nieuchwytnego atrybutu, który określamy wyrazami „rasa”, „arystokratyczność” – atrybutu, który musi być wynikiem zasadniczych cech duszy ludzkiej, skoro zeń płyną wszystkie

* Tytuł pochodzi od redakcji, wzięty z rękopisu, por. s. 212.

uczucia snobizmu, megalomanii towarzyskiej, a nawet cały ustrój „towarzystwa”. Anglicy byli dla mnie, jednym słowem arystokracją narodów, byli jako naród tem, czym jest „towarzystwo” w danym społeczeństwie. Poza urokiem osobistego szyku, angielszczyzna miała też za sobą dane najwyższej elegancji i wytworności przenikającej całą kulturę brytyjską. Zarówno książki angielskie, w swej zewnętrznej szacie, jak ubrania, styl mieszkań i domów – wszystko to imponowało mi niewymownie. Przytem Anglia i angielski miała dla mnie jeszcze jeden urok: było coś tajemniczego, niezupełnie zrozumiałego mi, wybiegającego poza moje poczucie tego co zwykłe i logiczne – we wszystkim. – Nie znałem języka bardzo dobrze; ale czułem że styl angielski jest mi obcy i niezrozumiały nie tylko dlatego, że nie opanowałem dostatecznie języka, ale dlatego, że nie rozumiem ducha tego stylu. Prace naukowe angielskie także były mi do pewnego stopnia obce. To samo odczuwałem zawsze w stosunku do ang.[ielskich] urządzeń społecznych, ich historii, sztuki, religii itp. Ponieważ zaś uważałem wszystko co brytyjskie a priori za najlepsze – przypisywałem więc tę obcość mojemu własnemu niezrozumieniu, temu że nie dorostem do odczucia tych rzeczy i spodziewałem się odkryć w tem, niezrozumiałem dla mnie residuum, całe otchłanie rzeczy nadzwyczajnych. Tajemniczość Anglii rozciągała się dla mnie nawet na fizyczną stronę kraju. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak Anglicy mieszkają, jak wyglądają ich miasta, ich domy, wsie i pola. Dlatego też Anglja pociągała mnie zupełnie niesamowitym urokiem. Ta barjera, odgradzająca moją wyobraźnię od kraju, a mój umysł od kultury ang.[ielskiej] rozciągała się na moje osobiste stosunki z Anglikami. Są oni niewątpliwie bardzo sztywni, zwłaszcza wobec ludzi, którzy nie mówią dobrze ich językiem. Dlatego też w moich podróżach, jakkolwiek widziałem mnóstwo Anglików, nie zbliżyłem ani nawet nie zapoznałem się właściwie z żadnym.. Miałem jednak silne poczucie właśnie towarzyskiej wyższości Anglików; marzyłem o osobistej przyjaźni z Anglikiem lub – takie marzenia są jeszcze silniejsze i bardziej naturalne! – o jakiejś pięknej Miss, z którąbym mógł flirtować – konkretniejszej postaci moje marzenia, zdaje się, nie przybierały. Kto wie czy to aprioryczne oczekiwanie nie wpłynęło silnie na podniesienie mojej sympatii do Mrs. N. a przynajmniej na przyspieszenie rozwoju tej sympatii. Była ona pierwszą Angielką, z którą zapoznałem się lepiej, i która odniosła się do mnie z wyraźną sympatią. Pamiętam dokładnie, jakby to było wczoraj, ów dzień wiosenny, pełen nastroju, wrażeń i nadziei, ów dzień, którego istota zawarta była między błado zielonemi falami morza Północnego a mglistym niebem, na którym słońce opalizowało z poza dziwnych, wółprzezroczystych chmur szybko pędzących ku wschodowi, – dzień w którym po raz pierwszy przejeżdżałem przez kanał z kontynentu do Anglii. Ten przejazd ma swoją treść, swój nastrój i poezję, które mniej więcej silnie przeżywam za każdym razem, kiedy wyjeżdżam na Wielką Wyspę, ale które wryły mi się w duszę najsilniej może za tamtym pierwszym razem. Jechałem wtedy przez Ostendę – Dover; i ta droga pozostanie dla mnie na zawsze klasycznym dojazdem do Anglii. W samej rzeczy nieporównanie pięknym jest zarówno wyjazd z portu Ostendy – jak i widok skał białych wapiennych, wśród których, w dolinie otwartej na morze leży Dover. W Ostendzie przyjeżdża się na sam brzeg przystani i wychodzi się z dużego, ładnego bahofu wprost na statek, który zaraz odjeżdża. Po lewej ręce leży miasteczko. Najprzód mijamy port stary, w którym zwykle jest natłoczone mnóstwo łodzi rybackich i małych żaglowców. Na brzegu targ ryb, dużo bab w czarnych sukniach; hale targowe, z tyłu domy starego miasteczka; wąskie i niskie kamieniczki, pomalowane we wszystkich możliwych i niemożliwych kolorach, bardzo barwne i piękne w charakterystycznej dziwaczności i asymetrii właściwej małym miasteczkom portowym. Podnosi bardzo to wrażenie fakt, że na pierwszym planie stoją sobie spokojnie rzędami żaglowce o różnokolorowych płótnach; a także to, że domki ustawione nad brzegiem basenów portowych przegładają się w wodzie i są nieproporcjonalnie duże w zestawieniu z małym nieraz dockiem a nieproporcjonalnie małe w zestawieniu z olbrzymiem morzem, które się albo widzi albo przeczuwa. Jest w tem wrażeniu jakaś zamknięta, uwięziona sprzeczność uczuciowo-wyobrażeniowa – jedna z tych, które nadają niektórym rzeczom wewnętrzny urok. – Stare, różnobarwne i bardzo malownicze miasteczko flamandzkie, usadowione nad portem, mija, w miarę jak się zbliżamy ku szerokiemu morzu, nad którym rozłożyła się nowoczesna Ostenda, „Fashionable”, i wzdłuż którego rozciąga się wspaniała esplanada willi i hotelów o najwykwintniejszej i najparsiwszej elegancji. Różnobarwność ustępuje jednostajnej szarzyźnie – nie odrazu; zabawna jest powolna dyfuzja tych dwu zupełnie niewspółmiernych stylów. Popaczone, zielone, żółte i czerwone domki zwolna prostują się, przechodzą najprzód w przywoitą cegłę, i ciemny kamień a potem dopiero w kolor i gust białej sztukaterji. Ale z daleka, od morza, widok długiego, jasnego szeregu willi nie jest brzydki; powoli zachodzą one mgłą i widać tylko długą smugę, linię płaskiego wybrzeża piasków flamandzkich, o które w długich falach rozbija się zazwyczaj tu niespokojne, morze Północne, zawsze zielone i mętne, zawsze pełne subtelnych efektów pastelowych, czy jakiejś niezmiernie wytwornej porcelany. Na morzu zaraz po wyjeździe z Ostendy i długo jeszcze potem roi się wprost od łodzi rybackich. O ile morze jest trochę wzburzone widok jest wspaniały; co chwilę giną za zielonym pagórkiem wody – widząc to pierwszy raz nie można się opędzić od przerażenia: zupełnie wygląda jakby ich morze połknęło – to znów wyphywają na szczycie fali. W ogóle morze jest w tych okolicach niezmiernie zaludnione; rzadko żeby nie było paru żagli większych lub mniejszych, paru kominów na horyzoncie. Mniejsze łódki znikają w miarę jak statek się oddala od brzegów kontynentu. Nie

wiem czy to dlatego, że koło południa zawsze się niebo rozjaśnia, czy też rzeczywiście chmury gromadzą się bardziej nad lądem, a nad morzem niebo jest czystsze, w każdym razie, zawsze jak przejeżdżałem przez kanał, w połowie drogi chmury były za nami i przed nami, nad kontynentem i nad Anglią, a nad głową było czyste, jakkolwiek zamglone. Łądu nigdzie nie widać i rozpoczyna się nastrój pełnego morza. Nastrój tak potężny, niewysłowiony, specyficzny, a przytem wszystkim, tak prosty jak samo – morze. Widok który się ma ciągle przed oczami jest w ogólnych zarysach niezbyt skomplikowany: olbrzymi obszar wody, przecięty burzą okrętową i kawał nieba, zcięty również szyną żelazną, o ile się patrzy z pokładu przykrytego, a nieograniczony niczem, o ile się jest na pokładzie odkrytym. Ale w tych szerokich, choć niezmiernie prostych ramach, ile się mieści zmian nieskończenie subtelnych i bogatych w charakterze morza i nieba, w oświetleniu, w stanie morza zwłaszcza, zależnie od tego czy jest ono mniej lub bardziej wzburzone! Oczywiście najpiękniejsze jest morze wzburzone, a przynajmniej jest ono najbardziej interesujące. Niestety wielu, i mnie między innymi, nie sądzonem jest rozkoszować się tym nieporównanie dramatycznym widokiem, z pokładu przynajmniej – z powodu choroby morskiej. Ale pamiętam, że pomimo choroby nawet (która zresztą była wówczas względnie lekka) wrażenie jakie na mnie zrobiła burza, z którą spotkaliśmy się na pełnym Atlantyku, na wysokości wysp Azorskich – było nieporównane. Statek duży i bardzo wyladowany kołysał się mało, powoli i leniwie. Olbrzymie fale szły z południa, wprost na nas. Załamywały się w olbrzymich kaskadach nad dziobem statku, który zanurzał się w ich zielonych wnętrzościach, jakby miał zatonać aż do połowy swej długości. – Ale morze spokojne, morze zupełnie gładkie, ma też swoją niewypowiedzianą poezję. Pełne morze to więzienie olbrzymie, to najbardziej otwarta i piękna pustka – wzrok niespokojnie biegnie ku krańcom, okrąża je, wraca; za nim myśl; a za nią tęsknota; takim jest świat szeroki – najszerszy, droga, która prowadzi wszędzie, obiecuje wszystko – , a w swej beztreściowej rozległości zawiera już jakby zdradliwy uśmiech otrzeźwienia. Z początku ogarnia dziwny niepokój, zaprawiony nudą; szukamy jakiegoś punktu oparcia w tem, co daje statek. Kontrast między tem życiem, wykrojonem z najbardziej luksusowej i najdoskonalszej technicznie rzeczywistości kulturalnej, rzeczywistości stworzonej przez człowieka a między tchnieniem nieubłaganej i niezrozumiałej, nieczystej w swej istocie rzeczywistości pełnego morza – ten kontrast jest czasami, co – zawsze działa niezmiernie silnie, a co nabrało – tragicznego patosu w katastrofie Titanica jak zresztą i we wszystkich innych morskich nieszczęściach. – Nastrój pełnego morza jest czemuś tak silnem, żywiołowem i niezmiennem, że wydaje się równie intensywnem, że przeżywa się go zawsze z tym samym dreszczem, niezależnie od tego czy podróż na pełnym morzu trwa przez godzinę czy dwie, jak na kanale, czy przez parę dni; czy też przez tydzień. (Tydzień jest najdłuższym okresem czasu jaki przeżyłem na pełnym morzu, między portami Hamburgiem a Funchalem na Maderze).

Zresztą nie tylko zależnie od tego, jakim jest morze i niebo, zależy widok pełnego morza. Zmienia się on istotnie w zależności od tego z jakiego punktu na statku wyglądamy. Całkiem innem jest nastrój morza z samego dzioba, tam gdzie naokoło nie widać nic tylko wodę i niebo; gdzie się zupełnie zapomina o tem, że się za sobą wlecze ciężki kadłub statku, a myśl i dusza cała lotem bezcielesnym biegnie w dal, przed siebie. Całemi godzinami przesiadywałem tam, wgnieciony między dwa zbiegające się bale czy szyny żelazne. O ile morze jest wzburzone wrażenia tu są wprost wściekłe: chwilami wznoszą się nad przepaścią, to znowu olbrzymia góra idzie na mnie. Oczywiście o ile morze jest bardzo wzburzone nie można stać nie tylko na dziobie, ale nawet w ogóle na przednim pokładzie, który co chwila jest pod wodą. Jeżeli statek jest blisko łądu często towarzyszą mu delfiny, które zawsze płyną tuż koło szpicu, co chwila wyskakując, pełnym wdzięku ruchem, ponad wodą. Na Atlantyku, koło Wysp Kanaryjskich znowu nieraz widziałem ryby latające, które zwłaszcza o ile morze jest niespokojne, wylatują z fal i na rozłożonych pletwach, jakby w olbrzymim skoku przefruwają dość znaczne przestrzenie, nawet poprzez szerokość przedniego pokładu (dość zresztą nieznaczna).

Inaczej znowu wygląda morze, jeśli się na nie patrzy z tylnego pokładu. Tam nie można się tak łatwo oderwać od poczucia, że się jest przyklejonym do statku, nie można się zatopić w czystej, niczem nie skażonej przestrzeni Oceanu i nieba. Nie tylko wyobrażenie, poczucie tego, że się ma przed sobą przestrzeń już przejechaną, już odbytą – ale fizyczne ślady statku: srebrny pas na wodzie i brudne pasmo dymu w powietrzu nadają tej części morza specyficzny charakter. Osobiście nie lubię tej strony widoku, która jednak o tyle czasami jest najwygodniejszą, o ile z przodu i po bokach jest zbyt silny wiatr.

Na nowoczesnych, porządnie urządzonych statkach pasażerskich są umieszczone po bokach długie galerje, biegnące, nieraz w kilku piętrach jedne nad drugimi wzdłuż obu stron statku, czasem aż do samego tyłu, aż do 3/4 długości, czasem tylko wzdłuż środkowej części statku. Są one bardzo wygodne, zwykle bowiem przynajmniej jedna strona zastonięta bywa od wiatru. Są zwykle przykryte, tak że się ma wrażenie jakby się chodziło po wąskim krużganku o bardzo subtelnych kolumnach i niskim stropie. Ale właściwie mało się widzi morza i nie ma się bezpośredniej łączności z niem niejako, widać go tylko po jednej stronie, okrojone balustradą. Zresztą ten promenade-deck zwykle bywa zaludniony elegancką – mniej więcej – publicznością, zastawiony deck-chair'ami, tak że się nadaje najmniej do – marzycielskiego upijania się nieskończonością.

Pozatem morze po bokach parowca ma zawsze nietadne, podłużne fale biegnące od statku pod kątem ostrym: fale, które powstały od rozdarcia morza dziobem statku. Najpiękniejszym, najpoetyczniejszym jest zawsze przedni pokład! – Na bocznych pokładach, promenade-decka'ach można czasem, o ile jest silny bardzo wiatr uprawiać specyficzny i niezmiernie zabawny sport. Zwykle od strony wiatru deski pokładu są całkiem mokre od piany morskiej i skutkiem tego śliskie. Otóż można sobie tam urządzać ślizgawkę, analogiczną do tej, którą ulicznicy uprawiają na zamrożonych rynsztokach.. Czasem wiatr bywa tak silny, że bez rozpędzania się można pod jego naciskiem jechać po śliskich deskach. Taki sport pamiętam uprawiałem ma „Gertrudzie Woermann [? słabo czytelne]” jadąc na Wyspy Kanaryjskie. Przytem ponieważ fale dochodziły czasem aż do połowy tego pokładu (od strony wiatru), sport miał swój urok pewnego ryzyka – przynajmniej przemoczenia aż do suchej nitki.

Ale wracając na Kanał, nastrój pełnego morza opanowuje mnie zawsze podczas tego krótkiego przejazdu i przecina niejako pasmo wrażeń kontynentalnych od nastroju W. Brytanii. Pomiędzy zgiełk i chaos, jaki stwarza zawsze podróż koleją, rozsuwa się ta krótka a jednak nieobjęta chwila przejrzystej pustki, która wydłuża ten dzień i stwarza odległość między temi dwoma pasmami przeżyć. Przez chwilę tą przechodzą stany psychiczne tak zupełnie odmienne od innych rzeczy, które poprzedzają i następują. Rodzi się tęsknota za rzeczami, które kiedyś były znakami najlepszego rozwoju, za rzeczami, które rodzą się z samotniczej kontemplacji, gwałtownie i z natarczywością wyrzutów sumienia budzą się instynkty wewnętrznej ascezy, która pcha do objęcia świata w formie najprostszej i najczystszej – takiej, jak to morze rozległe i niebo nad niem. Rzeczy te, które czasem nawet nie dochodzą do pełnego uświadomienia, czasem tylko przenikają wszystko wokół jakimś niewidzialnym smutkiem i tęsknotą bez przedmiotu i ukojenia, rzeczy, które niosą w sobie krzyk za życiem nowem, za wyrwaniem się, oddaleniem od samego siebie... W świetle ich można czasem dojrzeć dużo rzeczy w ogóle ukrytych i dotrzeć do zakamarków własnej duszy, o których istnieniu przedtem się nie śniło! Ogarnia mnie wówczas dziwny niepokój. Chodzę szybko po pokładzie. Czasem szukam czegoś „pod ręką”; przeglądam twarze towarzyszy podróży: publiczność jadąca przez kanał jest często zabawna: mieszanina czystej krwi Anglików i hołoty kontynentalnej i ta zabawna maskarada cudzoziemców, którzy mieszkają w Anglii i którzy się „przyanglizowali”. Poznać ich łatwo na pierwszy rzut oka! (Ja sam należę do tej, pogardy godnej i komicznej kategorii). Twarze pięknych kobiet są oczywiście punktami orientacji w tym przeglądzie upadłego metafizyka. Tęsknota zrodzona z sinej głębin morza rada by się zaspokoić w spojrzeniu pary niebieskich oczu! Uświadomienie takiej rzeczy odrzuca mnie nazad na wędrowkę po zielonej pustyni. Czasem wspomnienia przychodzą... Aż oto z mgły, która tu jest wieczna, powoli wyłaniają się jakieś bardziej określone formy. Z daleka trudno się zorientować początkowo, czy to nie są białe chmury leżące nisko tuż nad wodą; ale powoli widać coraz wyraźniej: pomiędzy jasno zieloną przestrzeń morza i nieba zaznaczają się elegancko zarysowane białe skały. Przed nami dwie szerokie ściany wyłaniają się coraz wyraźniej; na prawo i na lewo brzeg ucieka; na lewo południowe wybrzeże, na prawo wschodni brzeg, na którym skały wapienne kończą się niedługo i ustępują miejsca płaskim przestrzeniom, otaczającym szeroką zatokę u ujścia Tamizy. Pomiędzy dwoma ścianami otwiera się szeroka dolina, zamknięta z tyłu pagórkami z przodu otwierająca się na morze; całą szerokość dolinki zajmuje miasto Dover, które pozatem rozpina się naokoło na pochyłości pagórków otaczających. Widok jego ma pewien urok, zwłaszcza jako pierwsze powitanie Anglii, pierwsze wrażenie krajobrazu angielskiego z całym jego specyficznym charmem. Charm ten polega w pierwszej linii na tem, że powietrze w Anglii jest bez porównania bardziej przesycone wilgocią niż np. u nas i w ogóle gdziekolwiek na kontynencie. Z tego powodu powstaje zupełnie inna perspektywa powietrzna i szereg efektów malarskich nam zupełnie nieznanych. Horyzont jest bardzo mały. Dalsze plany nikną, stopione w niebieskiej mgłę, która w oddali przechodzi czasem w głęboki szafir. Bliższe przedmioty wychodzą dziwnie miękko; barwy wszystkie są zmodyfikowane i stonowane znacznie bardziej. W dolinie Dovru dalszy plan, pagórki stojące z tyłu wydają się przez to także znacznie większe, bardziej imponujące. Przytem linie, architektura pejzażu jest rzeczywiście piękna. Na prawo na szczycie ściętej skały szeroko, majestatycznie rozkłada się Dover Castle. Na lewo, jako pendant, na drugim pagórku koszary, czy inny budynek. Sam port jest wcale niebrzydki, dwa kamienne wały (piers, po angielsku) objmują, jak dwa wyciągnięte ramiona, szeroki basen przystani. Ale najpiękniejsze w krajobrazie są niewątpliwie skały wapienne, sławione w piosence patriotycznej „the white cliffs of England”, z daleka połyskujące jak kły lwa brytyjskiego. A u stóp ich morze rozbija się i otacza wyspę „opaską srebrną”, „the silver belt”. Ten widok zawiera w sobie, streszcza swoim nastrojem całą „wyspiarskość” Anglii, te wszystkie przeczucia i wyobrażenia jakie się ma o tym olbrzymim płaskim kraju, który tak oto – przed nami wyłania się z zielonych fal morza. Całkiem inaczej odbywa się przyjazd do kraju, który jest wyspą, niż zwykle przekroczenie granicy. Wyspę ma się przed sobą, jako pewną całość integralną, ograniczoną. I jakkolwiek, w wypadku Anglii przynajmniej, nie można objąć okiem jej całości, niemniej ten biały brzeg, wyłaniający się z powoli z mgły sinej, ponad srebrzystą pianą fal – symbolizuje niejako całą olbrzymią wyspę i myślą ogarnia się dalekie obszary, leżące poza tem co widać! Przyjazd jest tutaj czemś kompletnem, czego fizyczną realność przeżywa

się rzeczywiście, w czym poezji wyobrażeń i sytuacji odpowiada piękno widoków i swoistość przeżyć. To nie ta przeklęta współczesna technika podróżowania koleją, gdzie zmianę kraju poznaje się po galonach konduktora i kolorze obić wagonu; podróżnym, którzy mogą sobie zapłacić *train de luxe* nawet te wrażenia bywają oszczędzane. Dojazd morzem do jakiegoś nowego kontynentu ma w sobie zawsze tę pierwotną, tajemniczą moc rzeczy nowych, które powoli powstają, jakby stwarzane, ucieleśniane z nicości; powstają z sinej dali i z głębi mglistego mroku i w oczach, nieznacznie rosną i przybierają kształt, który odgadną[ć] się staramy zanim w swej pełni stanie przed nami. Pamiętam nieopisane wrażenie, które miałem podróżując pierwszy raz po morzu Śródziemnym. Nad brzegiem morza siedząc w cudownej zatoce, gdzie wśród gaju pinii i długich szpalerów aloesu i *erica arborea* nikt nie zakłócał piękna i samotności jesiennych dni, czytałem *Odyseję*, po grecku, ucząc się do matury. Byłem po ciężkiej chorobie, wycieńczony i tak przygnębiony, że nawet cudowne słońce nie uśmiechało się do mnie; nie wolno mi wówczas było czytać samemu i lekarze stawiali bardzo ponure horoskopy dla mojego wzroku. Matka pracowała ze mną. Powoli przychodziłem do sił i całe piękno, – upajające szczęście budzącego się we mnie życia, przeżyłem i przelałem na dalekie, sine morze; na gaje oliwne wśród kamiennych wałów, położone na łagodnych stokach okrągłych pagórków; na drogi wysypane żwirem, po których można było chodzić nad samym brzegiem morza. Jedna dróżka prowadziła nad zatoką, wzdłuż, aż do kapliczki, która stała na drugim końcu zatoki, południowym – S-ta *Maria Anunziata*, zdaje mi się. Czasem, już jak czułem się zdrowszy, chodziłem z Matką do miasteczka (*Lusin piccolo*-) drogą poprzez pagórek, przecinającą przylądek, który odgradzał naszą zatokę, *Cigale*, od portu miasteczka. Pamiętam taki jakiś wieczór księżycowy, kiedy późno dosyć, zaraz po zachodzie słońca dochodziłem do portu. Miasto bardzo puste, prawie jak wymarłe; na cichej wodzie kołyszą się w ciepłym, miękkim powietrzu barki o ciemnych żaglach; zapach oliwy smażonej i szybka, dźwięczna, okrągła mowa włoska; z daleka słychać piosenkę: „*Ninetta mia Son' barcarola – Sono del' arte e sono gentile – Nell' mia barca se vuoi venire – Sull' alto mare andremo...*”. Pamiętam dobrze tę chwilę, jej zapach i jej melodię – która do dziś dnia budzi we mnie treść tej epoki: nieświadome, wyteśczone ujęcie włoskości w jakiejś wyidealizowanej, mojej własnej formie, którą rzeczywistość później zabiła. Ale we wspomnieniu mam ją jeszcze, znam jeszcze ten kraj nieznanego szczęścia, które przez chwilę było mi bliskim, prawie moim; ale stopy moje już tam nie powrócą!

Wówczas byłem bardzo przejęty pięknnością Homera: poezją *Odysei*. Dźwięki skandowanej greczyzny, na wpół mi tylko zrozumiałe; a raczej obce mi zupełnie jako mowa, jako narzędzie bezpośredniego wypowiedzenia treści wewnętrznych – kojarzyły się właśnie dla tego w dziwnie plastyczny sposób z całym natłokiem bujnie rozwijających się wrażeń i odczuć. Poezja w języku dobrze mi znanym, w którym się bardziej przeczuwa, niż rozumie słowo; w języku nie skalanym codziennością i powszedniością użytku, ma swój własny czar i potęgę. Jest to jakby język składający się z imion własnych, oznaczających indywidualnie tyleż swoistych stanów duszy. Oczywiście poezja w języku ojczystym, własnym jest tą właściwie i w pełni zrozumianą poezją, ale tamta ma też swoją wartość. Dla mnie niektóre frazesy z *Odysei* były tym konkretnym kształtem, w który zeszytywniała owa fala życia, zalewająca mnie wówczas z źródeł najgłębszych. Poza językiem równoległe z dźwiękami fascynowały mnie też obrazy, powoli roztaczające się przedemną, treść przygód boskiego tułacza i, zwłaszcza, scena tych przygód – morze. Z nieopisaną tęsknotą wybiegałem, poprzez wąski otwór zatoki, oczami i myślą na szerokie, „fiolkowe” morze; ślizgałem się po jego gładkiej, szerokiej powierzchni, hen, daleko aż ku brzegom *Itaki*, obejmowałem *Włochy* i szedłem ku *Sycylii*, ku ojczyźnie *Polifema*; i tam daleko, w przeciwną stronę ku wodom *Pontu* skąd się tułaczka *Odyseja* zaczęła i ku brzegom *Egiptu*, gdzie mieszkali *Lotofagowie*. I morze tamto, przestrzeń tamta raczej wydawała mi się dziwnie głęboka, czy tajemnicza, jakby otoczona jakąś mgłą błękitną, która nad morzem zwiślała, jak noc. I wprost nie chciało mi się wierzyć że ta oto woda, nad którą siedzę, która do stóp moich dobiega, to część tego samego – morza, które tam dalej gubi się w mroku legendy, staje się baśnią, ledwo dostępną wyobraźni.

A potem po parodniowym pobycie w *Cigale*, wsiałem na statek i pojechałem na południe, ścigać cienie mej myśli – próżna pogoń! Pierzchają, jak noc przed słońcem i przed sobą mam zawsze tylko to samo morze rzeczywiste, które tylko ciągle pcha w dal i mam tęsknotą; i brzeg wspaniałe, winnice i gaje oliwne, skały nagie i miasteczka o białych murach. Ale pamiętam dobrze moje uczucia jak się obudziłem dojeżdżając do *Raguzy*. Nie wiem dlaczego, ale po raz pierwszy miałem wrażenie poczucia, że jestem na wodach tego wspaniałego basenu Śródziemnego, nad którym wyhodowała się cała kultura świata starożytnego, gdzie w taki sam ranek pogodny i słoneczny spokojnie płynęły trirery rzymskie nad oświetlonym jasno -, śmiejącym się brzegiem. Jechaliśmy wówczas statkiem wzdłuż brzegów *Dalmacji*, zajeżdżając po kolei do wszystkich większych miast i zwiedzając je. Podróż ta zrobiła na mnie silne wrażenie, właśnie dlatego, być może, że byłem do niej przygotowany długą tęsknotą, ciszą wewnętrzną, w której owe rzeczy bez kształtu i bez treści, a tak niezmiernie silne, owe promienie zwiastujące życie, mogą rozwijać się swobodnie.

Pierwszy port: *Zara* zaciekawił mnie niezmiernie jako pierwszy okaz małego miasteczka włoskiego, jaki widziałem. Dopatrywałem się w ciasnych, ciemnych uliczkach, gdzie ludzie chodzili sobie, jakby po jakiś

korytarzach brukowanych, w kościółkach malowniczo ukrytych między domami, w życiu, brudnym i lazzarońskim² ucieleśnienia tych wszystkich myśli i marzeń bez formy, a raczej o formie mglistej, niezintegrowanej, które miałem tyle razy w związku z tym imieniem magicznym Włochy! Takie ucieleśnienie kamienne myśli małych i rozproszonych, takie zcałkowanie w żywą istotę tego co gdzieś znajdowało się [w] kraju snów, stanowi dla mnie jeden z największych uroków podróży. W tych wrażeniach, które zawsze zstępują niespodzianie, podróż bywa rzeczywiście piękna; tak jak miłość, która w życiu stwarza to, za czym tęsknimy, ale nie śmiemy prawie wierzyć w jego rzeczywistość. Czasem to ucieleśnione marzenie występuje tak nagle, tak niespodzianie, uderza w umysł zmęczony i przysypany pyłem wrażeń trywjalnych, tak potężną kaskadą piękna oczyszczającego i trwożnego, że staje jak sen ucieleśniony; że posiada równocześnie urok tajemniczy snu i życiem tryskającą intensywność jawy. Pamiętam taki był mój pierwszy przyjazd do Wenecji. Zmęczony, zwiedzaniem Wiednia w upalne i suche dni Wrześniowe, wyczerpany spacerem po grotach Postoiny, wsiałem z Matką późno popołudniu w pociąg, jadący do Wenecji. Byłem tak przesycony wrażeniami, że zacząłem rozmawiać z towarzyszami podróży: komiwojazerem Żydowskim i jego żoną. Pamiętam cały zatonałem w dialektyczną dyskusję o antysemityzmie, polityce wewnętrznej Austrii itp. Wpadłem w ten stan biernego przemęczenia i podniecenia nerwowego; jednostajny stukot kół o szyny, brudne, mrugające światło lampy, ochryple głosy którymi się zawsze mówi, ażeby przekrzyknąć hałas pociągu, brudno-żółte wnętrza wagonu 3. klasy – oto elementy zewnętrzne dobrze znanego nastroju kolejowego. Do tego dodać jeszcze kalejdoskop obrazów pamięciowych, niepokój czy się dostanie łatwo, wygodnie i tanio schronienie na noc – bezradność pewna i poczucie, że się jest na stopie wojennej z tą częścią ludzkości, z którą się ma bezpośrednio do czynienia. Dworzec kolejowy w Wenecji, tragarze, banda służących hotelowych, to wszystko jeszcze przyczyniło się do zaakcentowania tej niezmiernie banalnej formy, w której po raz pierwszy znalazłem się na lagunie. Z dworca wychodzi się bezpośrednio na Canal Grande. Nagle uderzyła mnie cisza jasnej nocy księżycowej. W srebrnym, niebieskawym świetle żółte światła latarni, pryskające w odbiciu na lekko falującej wodzie. Cicho pluskała woda o kamienne schody i ten szmer tak dziwny mi się wydał, tak dużo mówił odrazu o tej najgłębszej istocie Wenecji – o marmurach białych, oblanych zieloną wodą, o falach laguny, w których przegładają się gotyckie koronki pałaców, i które tam daleko oblewają wioski rybackie i piaski, i muliste brzegi płaskie. Wsiadliśmy w gondolę, która nas wiozła, trochę przez wąskie kanały boczne, chwilami wyptywała znów na Canal Grande. Kształty dobrze mi znane, wymarzone z cieniów występowały przedemną; słyszałem nazwy, ze drżeniem, z dziwnym uczuciem radości, jakgdybym przeżywał wielką chwilę, jakby te wielkie rzeczy dopiero teraz się urzeczywistniały; upokarzający symptom, ogólnego zresztą egocentryzmu – zresztą może nawet nie upokarzający – przecież wtenczas czułem zupełnie tylko tamto i byłem tylko przepełniony entuzjazmem. Chiesa degli Scalzi, Palazzo Vendramin – Calerghi; Palazzo Foscari – te nazwy do dziś pamiętam z owej nocy.

© Copyright by Helena Wayne

Transkrypcja z rękopisu i opr.

Danuta Benedyktowicz, Zbigniew Benedyktowicz

PRZYPISY

¹ „Mrs N.” to Anna Brunton, pochodząca z Południowej Afryki, nie Nowej Zelandii (wydaje się, że Malinowski chciał jakby ukryć jej tożsamość tutaj). Jej postać pojawia się w dziennikach w zakreślonym kółkiem „n”. Inna kobieta, spotkana później w Australii, Nina Stirling występuje pod „pełnym N.”. Malinowski poznał Annę Brunton w czasie swoich studiów w Lipsku (1908–1910), kiedy studiowała tam muzykę. Można znaleźć świadectwa o ich podróżach do Szwajcarii w jego dziennikach z tego okresu. Gdy powróciła do Południowej Afryki, przez pewien czas korespondowali ze sobą. Spotkali się ponownie, gdy odwiedziła Anglię w 1929 roku (por. Helena Wayne, *The Story of a Marriage*, t. II, s. 146, Routledge, London 1995). Jej wyjazd do Anglii w 1910 roku był, jak pisze o tym Malinowski impulsem dla niego by podjąć tę podróż (por. Helena Wayne, *Wpływ kobiet na życie i dzieło Bronisława Malinowskiego*, tłum. G. Kubica-Heller, „Konteksty”, nr 1-2/97, s. 153–161.)

² lazarion – przest. łazik, bezdomny włóczęga (neapolitański), żyjący z dorywczyczych posług albo żebraniy; wł. lazzarone.